

Skradziona rewolucja

Palikot z jednej strony wciąga lewicową kulturę w wir rzeczywistej polityki, z drugiej wyrzuca na aut polityczne ambicje nowolewicowych środowisk, ale i samą retorykę



Palikot z jednej strony wciąga lewicową kulturę w wir rzeczywistej polityki, z drugiej wyrzuca na aut polityczne ambicje nowolewicowych środowisk, ale i samą retorykę - pisze w Rzeczpospolitej Dariusz Karłowicz

W zalewie rozmaitych smutnych wydarzeń związanych z wyborczym sukcesem Janusza Palikota zniknął pewien – pouczający i w sumie dość zabawny – aspekt całej sprawy. Otóż Palikot ukradł nowej lewicy rewolucję. Zrobił to – jak mówią w Warszawie – na rympał. Nie tylko wziął i nie pokwitował, ale wcale nie wygląda na to by zamierzał płacić jakiegokolwiek polityczne tantiemy wyłącznym, jak się dotąd zdawało, właścicielom retorycznego copywritu. Używając pewnego skrótów, powiedzieć można, że obok PiS i PjN to *Krytyka Polityczna (pars pro toto)* jest jednym z największych przegranych ostatnich wyborów. Niech nikogo nie zmylą zapewnienia aktywistów nowej lewicy, iż cieszą się wyborczym wynikiem milionera z Biłgoraja. Tłumiony szloch, zmieszanie, ba! panika przeziiera przez każde słowo tych deklaracji. Bo nawet jeśli uznać, że jest to sukces bliskiego im rodzaju kultury politycznej, to już dla politycznych ambicji nowolewicowych środowisk sukces ten musi być bardzo gorzki. Lider najnowszej lewicy za jednym zamachem zabrał im pozycję głównego ośrodka politycznych przemian wraz z mołojecką sławą gwarantującą niesłabnące dotąd

zainteresowanie mediów. Odsunął ich i zaćmił. Czy Žižek może przebić posłankę Grodzką? A Badiou pana od Faktów i Mitów? Ciekawi mnie pytanie, dlaczego się tak stało i co z tego wynika.

Z rewolucji lewicę okradała zwykle biurokracja – jej własna biurokracja, dodajmy. W Polsce narzekali na to kiedyś Kuroń i Modzelewski w swoim sławnym (choć niestety nieczytanym) liście. Kto szuka świeższych przykładów, niech słucho, jak na biurokratów z Brukseli narzeka Agnieszka Graff. Tym razem stało się inaczej. Fakt, że kolejne rozdziały historii *Kapitału* pisze kapitalista, pokazuje – że dobrze opisane zjawisko – przesuwania się lewicy od spraw społecznych w stronę kwestii kulturowych, obyczajowych i religijnych dotyczy dziś również Polski. Palikot doskonale wykorzystuje tę zmianę. Pryncypialność w kwestiach obyczajowych czy religijnych pozwala przejść do porządku dziennego nie tylko nad ideową zbornością lewicowego kapitalisty (komunistyczny liberalizm? kapitalistyczna lewica?), ale nad sekwencją arcyprawicowych kreacji Janusza Palikota. Walczący o uznanie w roli pupilka Tygodnika Powszechnego jako „biznesmen prymus”, potem starający się o uwagę jako patron pokolenia JP2 i wydawca tygodnika Ozon, jest równie wiarygodny w obecnej roli, jak w poprzednich. Z jedną różnicą – w nowym opakowaniu „produkt Palikot” sprzedaje się doskonale.

Jednak nie chodzi tylko o to, kim jest, albo kim nie jest złodziej świętego ognia – ale jak to zrobił. Kradzież w wykonaniu biurokratów polega na przejęciu i schłodzeniu. Teraz jest odwrotnie. Problem lewicy z Palikotem polega na tym, że on dodaje gazu, jedzie po bandzie, podkreca, daje do pieca! Niewola lewicy w sidłach marketingu politycznego lidera Ruchu Palikota – jest problemem z jego dosłownością i radykalizmem. Przelicytowując rewolucjonistów

rewolucjonizmem, przesuając ich hasła do, albo i poza granicę śmieszności, Palikot z jednej strony wciąga lewicową kulturę w wir rzeczywistej polityki, z drugiej jednak wyrzuca na aut nie tylko polityczne ambicje nowolewicowych środowisk, ale i samą retorykę. Dlaczego? Zamiast (jak było w planie) powoli opanowywać główny nurt kultury język nowej lewicy staje się ekstrawagancką dykcją milionera dziwaka. Co u licha począć z przeciwnikiem, który robi to, co deklarujemy, ale z różnych powodów (przez roztropność, smak czy poczucie przyzwoitości) wzdragamy się uczynić? Cała subtelna taktyka stopniowego uobywatelniania lewicowych haseł bierze w łeb wraz z graczem, który – w co niepodobna wątpić – porzuci je nazajutrz po tym gdy okażą się nie dość nośne. Z jednej strony radość z przesunięcia granic z drugiej lęk przed zużyciem potencjału i zamknięciem w panoptikum politycznych osobliwości. Uwaga! To nie jest dobrze znany problem ostrożnego stratega z ekstremistą, którego brawura może wszystko popsuć, to problem z pragmatycznym bezideowcem ubranym w maskę radykała.

Odesłanie dotychczasowych pierwszych skrzypiec do tylnych rzędów było już widać podczas akcji Dominika Tarasa, akcji która poprzedza i zapowiada polityczną technikę Palikota. Nawet najbardziej obrzydliwe teksty lewicowych blogerów bladły wobec ekscesów zdumiewających indywiduów, które – jak nas zapewniano – uosabiały oświeceniowy ideał człowieka wyzwolonego. Jakich by tam chudzi literaci z lewicowych portali plugastw nie napisali po adresem smoleńskich ofiar i ich rodzin, to i tak ubliżająca starszym paniom bandyterka z Krakowskiego robiła to mocniej i dosadniej. I tu jest pies pogrzebany. Zawsze w tyle! Zawsze krok za Januszem. Światła zawsze na niego. Bo kiedy oni subtelnie zachwalają PRL, a komunizm destylują lacanizmem, on już dalej, już pod rękę z Urbanem; gdy oni w tajemnicy z Olejniczakiem w jakiejś modnej kawiarence uprawiają swoje

neurotyczne Hass und Liebe, on już jawnie i bez ceregieli z każdym i wszędzie; kiedy oni w małej galerii happeningowo o genderze, on, a jakże, z posłanką Grodzką rewolucjonizuje na całego i wibratorem macha; oni o Kościele, że zawłaszczyl i w ogóle z Badiou strony, a on już dawno z panem od Grzegorza Piotrowskiego w jednej ławie zasiada i biskupie brzuchy trąca.

Nowolewicowy kapitalista (już nie oksymoron), biorąc idee na własność, nie zamierza dzielić się ani władzą, ani publicity. Groźny dla idei (bo wybiera tylko to, co wygodne, niszcząc integralność rewolucyjnej doktryny) jest groźny również dla samych środowisk, które traktuje wybitnie instrumentalnie. Wykorzystując wewnętrzne skłócenie i podziały, wybiera poszczególnych ludzi, których obecność w jego otoczeniu tworzy wrażenie oficjalnego poparcia całego ruchu. Gdyby jednak chodziło tylko o niewdzięczność sprawa byłaby w istocie nieciekawa. Pat w jakim znalazła się nowa lewica ma istotniejsze źródła – jest nim rzecz jasna sukces Palkota – pierwszy istotny sukces polityczny pod sztandarami rewolucji. Palikot owszem okrada lewicę, ale pozwala jej wyjść z politycznych katakumb. Jego sukces polega na tym, że znalazł społeczne zakorzenienie dla postulatów dotąd całkowicie marginalnych – przerzucając pomost z mediów, redakcji i galerii wprost do prawdziwej polityki. Tak jakby stworzył (odkrył?) nowolewicowy lud, dzięki czemu dotąd nieomal wyłącznie medialny byt lewicy stał się niespodziewanie szybko bytem politycznym. To zdumiewająca zmiana dla środowisk nowolewicowych amisów – w istocie nieomal doskonale izolowanych od rzeczywistego świata wspólnych spraw, problemów i emocji. Elita bez ludu. Oficerowie bez wojska. Silni w telewizyjnym studio czy offowej galerii okazywali się z gruntu niezdolni do tego by uczestniczyć, a cóż dopiero oddziaływać na to, co wspólne. Niepłaczący po papieżu, niestojący w kolejce do trumny Pana Prezydenta, jak milenarystyczna sekta patrzyli ze wstrętem na

świat, który kiedyś – jak wierzą – upadnie. Władza nad przemienionym światem miała być nagrodą za cierpliwość i ciężką pracę. Odległą nagrodą.

Czy można się dziwić, że nie cieszyli się specjalnym zainteresowaniem? Wzięcie na neoleninowską retorykę w kraju, w którym komunistyczny autorytaryzm skończył się 20 lat temu nie może być oszałamiające. Lewicowy antykatolicyzm? W ojczyźnie JP2? Na świeżych jeszcze grobach zamordowanych księży? To może lewicowe eksperymenty gospodarcze? Znamy! Dziękujemy! Stuprocentowy podatek spadkowy? Postukajcie się w głowę! Chwileczkę, może kobiety chciałyby jakiejś gruntownej zmiany? Z naszą pozycją w polskiej kulturze i domu! No, może żeby dłużej być z dziećmi. Krócej? Jeśli krócej to do widzenia! To wszystko dobre dla mediów, pewnej części inteligencji, dla garstki młodych, dla elit z silną z peerelowską tożsamością, ale na dużą bazę społeczną nie wystarczy. Na dodatek dramatyczny kontekst doby transformacji sprawiał, że ksero lewica ze swoją na szybko skopiowaną agendą robiła zawsze wrażenie, że się urwała z księżyca. Tu bieda, rozwarstwienie, bezrobocie, państwo nie spełniające swoich podstawowych obowiązków, brutalny liberalizm, dzikie prywatyzacje, uwłaszczenie nomenklatury, rosnące nierówności, a oni o mniejszościach, wychowaniu seksualnym, nacjonalizmie i kulturowych transgresjach. Brak pomysłu i chęci na rzeczywistą społeczną aktywność też nie pomagał. Koncentrując się na problemach mniejszości, problemy większości zostawiano prawicy. Może zresztą i dobrze, bo kiedy - jak w wypadku strajku pielęgniarek – próbowano coś zmienić, to całość wypadała, powiedzmy to wprost, wyjątkowo niesmacznie – lewicowe panny i kawalerowie bawiące się kosztem zrozpaczonych ludzi. A już żeby być tak do bólu szczerym, to i z kwestią problemów mniejszości sprawa nie nabrała szczególnego impetu. Wystarczy przypomnieć żalną frekwencję na rozmaitych,

pompowanych przez media, tęczowych marszach, czy reprimendę, jaką dostał pewien wybitny krytyk, który wychylił się zapewniając, że w Polsce nigdy nie czuł się ze swoim homoseksualizmem źle traktowany. Postulaty rewolucji obyczajowej w Polsce mają grunt wyjątkowo słaby i nie pomaga im ani intensywna propaganda, ani nawet manipulacja danymi. Na dodatek nowa lewica nigdy nie miała nosa do tego, co wspólne. Bezradna wobec języka zbiorowych emocji, ujawnionych w żałobie po śmierci papieża, mogła przedstawić żałobę po zamknięciu Le Madamme. W przeciwieństwie do swoich znakomitych antenatów z lat 70 nowa lewica okazała się całkowicie głucha na metafizyczny wymiar polskiej kultury. Brak tego, co tamtym dało rozmach i ogromne wpływy, pogłębia dziś wyobcowanie i sekciarski charakter następców. Po wielkim dialogu, który z katolicyzmem toczył Kuroń, Michnik i Kołakowski kiedy nowa lewica podjęła wreszcie próbę nawiązania kontaktu z tubylcami – wiecie co zrobiła? - przełożyła na polski to, co francuski filozof napisał o świętym Pawle. Czy nie genialne! Brawo!

Jedyną poważną grupą, do której można się było zwrócić, był elektorat postkomunistyczny. A tu nowa lewica nie miała albo pomysłu, albo odwagi, albo chęci. W istocie znaczna część publicystycznego zapалу głównych harcówników szła na zapewnianie, że nawet jeśli czasem biorą pieniądze od SLD, to przecież nie są jej młodzieżówką (wręcz odwrotnie), że tradycja PZPR-u to nie oni, że PRL to może nie był najgorszy, ale jednak straszny itd., itp., itd. Oczywiście, że spora część zainteresowania jakim nowa lewica cieszy się w środowiskach uniwersyteckich i medialnych bierze się z peerelowskich korzeni obu tych światów. Czy to nie przyjemnie słyszeć, że pisząc doktorat z Marksa i habilitację z Róży Luksemburg, działając w partii czy w reżimowej prasie, było się po prostu lewicowcem, modernizatorem i awangardą! Jednak to życzliwe zainteresowanie części postkomunistycznych elit nigdy zostało przekute w program

adresowany do postkomunistycznego elektoratu. Nowa lewica tej sprawy rozwiązać nie potrafiła - tak jakby czekała, aż rozwiąże ją biologia - kiedy to odnowione (i reedukowane) SLD ze swoimi dużo już mniej kłopotliwymi (estetycznie, historycznie i intelektualnie) elitami i elektoratem stanie się naturalnym przedstawicielem nowej lewicy. Co do mnie sędzę, że nie była to tylko taktyka, ale poczucie smaku i zwykła przyzwoitość.

Palikot nie uczestniczy w tych dylematach. Przygotowując „produkt Palikot”, działa jak sprawny marketer - szuka grupy docelowej i dostosowuje ofertę do oczekiwań. Jego sukces polega na połączeniu trzech dotąd izolowanych nurtów: ludowego nihilizmu, resentymentalnego postkomunizmu i nowolewicowej retoryki.

Ludowy nihilizm, to nurt słabo rozpoznany, choć przecież niewątpliwie silny i żywotny. To rodzaj polskiego Kalibana, przez lata traktowany jako przedmiot działań wychowawczych i uobywatelniających patriotycznej inteligencji. Działań nieudanych. Można w nim widzieć formację alternatywną wobec dominującej w kulturze - formację jakby pominiętą czy uszkodzoną w procesie upowszechnienia szlachecko-inteligenckiego etosu odpowiedzialności za wspólnotę, honoru i judeochrześcijańskich wartości duchowych. Opisywany właściwie tylko z zewnątrz - niejako apofatycznie jawi się jako nie-byt - brak tego, co cenione (cham, ciemniak, nienawistnik, nihilistyczny motłoch, później również np. ćwierć inteligent). Znamy go z pełnych uprzedzeń portretów: zbuntowane lokajstwo Pankracego, cień Jakuba Szeli - trochę również Pijak ze Ślubu (oraz z szeregu groteskowych wcieleń). Wszędzie pojawia się jako wróg, a w najlepszym wypadku przedmiot reedukacji, nigdy jako partner. A że nie doczekał się swojego Herodota (który napisałaby legendę i odróżnił swoich od Persów), więc nie

posiada niczego na kształt wspólnotowej samoświadomości. Czy to oznacza, że tej tożsamości nie posiada? Przeciwnie. Zawilą polityczną grę podjął z nim PRL, który jednak w całym swoim egalitaryzmie nigdy nie posunął się tak daleko, jak wolny rynek mediów. Pełną afirmację jego (z inteligenckiej perspektywy) nie-bytu dał mu dopiero całkowicie obojętny na kulturowe i aksjologiczne hierarchie producent mediów. Wyzwolenie z logiki reedukacji zapewnia mu siła nabywczą tworzonej przezeń wspólnoty gustów i potrzeb, a więc status wyrazistego segmentu masowej konsumpcji. Staje się interesujący jako odbiorca specjalnie dla niego wytwarzanych programów rozrywkowych i tabloidalnej informacji. Media, o których mowa, nie zamierzają wyciągnąć Kalibana „na ludzi”, lecz pozyskać jego uwagę i pamięć, by sprzedać je reklamodawcom. Żeby tę uwagę mieć, trzeba schlebiać, a nie wychowywać. I właśnie w tej retorcie dokonała się reakcja autoartykulacji Kalibana – ciągle jeszcze głównie jako nabywcy, ale już z pewnymi wyraźnymi rysami: z ulubionym stylem życia, marzeniami, aspiracjami, coraz wyraźniejszym zestawem postaw. Ciągle jest to jeszcze forma przedpolityczna, ale przecież widać, że od tego dzieli nas tylko krok.

Pomysł połączenia tego nurtu z resentymentalnym postkomunizmem należy do chętnie eksponowanego przez Palikota Jerzego Urbana. Nie jest to związek doskonale dopasowany, ale dla obu stron z pewnością korzystny. Niedoskonale wyraża to, co w nurcie ludowego nihilizmu antyślacheckie, antyinteligencje i antyarystokratyczne, a więc wszystko to, co wrogie wspólnocie, religii i tradycji. Nienawiść do elit nawet jeśli skierowana głównie na solidaruchów i klechów ma to, co konstytutywne dla tradycji Szeli i Pijaka, stanowiąc zarazem namiastkę zemsty, która w sierotach po peerelu koi żal za straconym światem. Główna z politycznego punktu widzenia słabość tego mariażu polega na tym, że zmusza do zawieszenia na kołku wszystkiego, co mogłoby

być lewicowym etosem. Tonący w duchowej pornografii Urban nie nadaje się na chorążego rewolucji. W miejsce patosu musi pojawić się cynizm, i nawet tak lubiane przez kombatantów Peerelu modernizacyjne frazesy trzeba zastąpić panświnistyczną pointą. To może wystarczyć żeby utrzymać sprzedaż, ale za mało żeby coś na tym budować. Nie ma ideałów, nie ma polityki.

I tu właśnie leży sukces Palikota: w idei dla Kalibana, w podjęciu w próby upolitycznienia go – i to nie przez reedukację, ale afirmację – a więc przez przekonanie go, że już jest a nie dopiero stanie się ideowcem, solą ziemi, awangardą postępu. Podobnie afirmatywna akcja wobec postkomunizmu (zawsze byliście nową lewicą) dopełnia reszty. Dlatego jestem przekonany, że to co stało się podczas wyborów nie jest – jak sądzą niektórzy - jakaś nagła erupcja sekularyzacji i antytradycjonalizmu, lecz skutkiem nadania politycznej formy rzeczywistości dotąd politycznie bezkształtnej – owszem sprzyjającej pewnie Tymieńskiemu, Lepperowi czy Urbanowi, ale nigdy świadomie nie zagospodarowanej. I nie jest to tylko kwestia opakowania - zamiana obciachowego urbanowo-lepperowskiego sznytu na europejski design. To pomysł na rzeczywiste samo utwierdzenie. W czym? Dobrze pytanie. Czy rzeczywiście w oświeceniowych, elitarnych i inteligenckich ideach nowej lewicy czy tylko w ich pozorze? Sprawa wymagałaby dłuższej odpowiedzi. Jeśli wolny od alienacji, wyzwolony i oświecony cel rewolucji to po prostu modniej ubrany i lepiej ostrzyżony Kaliban – to sprawa ta jest dla lewicy co najmniej godna przemyślenia. Jedno jest pewne krok na który nie było ich stać i którego nie dało się zrobić w obezwładnionym resentymencie stylu Jerzego Urbana – został zrobiony. Czy przypadkiem? Trudno uwierzyć biorąc pod uwagę obecność Piotra Tymochowicza uchodzącego za specjalistę od elektoratów, o których tu mowa. Czy jest to trwał zmiana? Zobaczmy. Pomysł jest taki: Kaliban (i Szmaciak) zostają ideowcami, ludzie

„tutejsi” kosmopolitami, Pijak intelektualistą, a Szela tradycyjnie zięje nienawiścią do wszystkiego co szlacheckie, katolickie i narodowe. Oto szybki kurs rewolucji a la Palikot. Pytań jest mnóstwo. Czy Kaliban zgodzi się na taką redefinicję? Czy przyjmie oferowaną mu polityczną formę? Czy nie jest tak, że podoba mu się tylko niszczycielska energia nowej wiary (obsesyjny antykatolicyzm, pochwała tego co niskie, pornograficzne czy w sensie Norberta Elasa nieszlacheckie) bo w głębi duszy gardzi tym wszystkim co na lewicy afirmowane? Czy nowa lewica nie wyda mu się podobnie obrzydliwa jak tradycje Sierpnia, wspólnotowość, inteligencja czy Kościół? Czy będzie gotowy na proces reedukacji i czy nowy świat wyda mu się wspaniały? Zobaczymy.

Oczywiście, sukces Palikota to również polityka. Jest tu rozgrywka Tuska z lewym skrzydłem, można się domyślać poparcia części postkomunistycznej oligarchii rozczarowanej nieudolnością Napieralskiego, są zniechęceni do SLD nowolewicowcy i wreszcie głęboko zanurzone w politykę media (z ich nieustanną potrzebą draki). Ale zostawmy to. Ciekawsze jest to, do czego ta sytuacja prowadzi. Otóż, jak już widać, wprost do radykalizacji lewicy. Konkurencja skłania do eskalacji, a licytacja odbywa się na ulicy. Jeśli Žižek jest za słaby – trzeba zadymy. Brak zainteresowania? A tu proszę wystarczyły kastety, parę pałek, kilku cudzoziemców, którzy przypadkiem wpadli na kawę i znów otwały się studia, znów czołówki, znów w centrum uwagi! Nie jest to wybór prosty. Pada wytrwale budowany wizerunek inteligentów, cierpi etos Krakowskiego Przedmieścia. To duży koszt. I droga w nieznane. Ulica wymaga kwalifikacji, których nowej lewicy po prostu brakuje. Nie chodzi mi o siłę pięści lecz o słuch. Xero-paradoksy można opowiadać w studio. Na prawdziwym forum trzeba czuć puls, trzeba rozumieć, kochać, współczuć. Formacje zbudowane na pogardzie wobec tego, co lokalne nie mają tu wielkich szans. Dlatego oderwanym od realiów lewakom, obojętnym na to, co boli, cieszy, co napawa dumą nie

wrózę wielkich szans w działaniach na dużą skalę. Czy w ruchu polskich symboli można zrobić coś głupszego niż zaproszenie ubranych na czarno niemieckich bojówek ,by pałką wyjaśnili komu i jak w wolno świętować odzyskanie niepodległości? To pomysł idioty. Czy interpretować to - jak chce część publiczności - jako twórcze rozwinięcie idei zachodniego eksperta, czy też - jak chcą inni - jest to kongenialna kontynuacja idei edukującej Polaków sowieckiej kolby, którą zalecał Ireneusz Kroński? Spór trwa. Jedno jest pewne, chcąc zachować swoją dotychczasową pozycję nowa lewica wybiera drogę radykalizacji. To głupie, ale innego pomysłu na razie nie ma.

Dariusz Karłowicz

Rzeczpospolita, Plus Minus